

MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
W MARCU JAK W GARNCU



WSTĘPNIAK

Konrad Makuch

Witam Was w marcu po feriach, drodzy Uczniowie i Czytelnicy. Pełni energii i inspiracji, wypoczęci, gotowi do działania wracamy do pilnej pracy i nauki w szkole. Myślimy sobie: marzec, piękny miesiąc, po długim, przygnębiającym okresie szarości, zaczyna się robić ładna pogoda, temperatura rośnie, niebo przestaje być pochmurne, nasze umysły również się rozchmurzają, zaczynają napełniać się pozytywnym nastawieniem dosłownie do wszystkiego.

W tym optymistycznym miesiącu nie może też zabraknąć najlepszej i najbardziej popularnej gazety Zespołu Szkół łączności. Szkolna Redakcja co miesiąc, do ostatniej możliwej chwili, pręźnie krząta się w oceanie słów, by zdążyć na czas z elitarnymi artykułami, które kształtują Was i Wasz światopogląd nieprzerwanie od kilku (kilkunastu) lat. W marcu przygotowaliśmy, jak zawsze, niewiarygodnie ekskluzywne teksty.

Na początku numeru, na stronie trzeciej, tradycyjnie znalazł się duet artykułów Renaty i Moniki. W ZSŁ News znajdują się informacje o najświeższych wydarzeniach, jakie miały miejsce w szkole w ostatnim czasie. Ogromna medialna burza, która ostatnio powstała w różnego rodzaju środkach masowego przekazu wokół filmu stworzonego na podstawie książki, zachęciła Monikę do wyrażenia swojego krytycznego zdania na temat tejże książki.

W numerze również znalazły się ponadto trzy inne recenzje: Michała, tajemniczego M i Patryka, którego tekst jest, można by rzec, artykułem numeru, ze względu na to, iż zajął on 3. miejsce w ogólnopolskim konkursie „Pawie pióro”. Może marzec to miesiąc recenzji czy coś w tym rodzaju. Michał również wdał się w polemikę dotyczącą pechowości trzynastego w piątek. Przedstawiając różne wydarzenia, które zdarzyły się na przestrzeni wieków, łączy je z datami ich dziania się, w taki sposób, że nawet ktoś, kto do tej pory podchodził sceptycznie do takich i innych „zabobonów”, po przeczytaniu owego tekstu będzie w stanie zmienić swoje zdanie na ten temat.

Tomek w swojej serii podróżniczej tym razem kończył wizytę w Indiach i wyruszył do Nepalu. W bieżącym numerze można też znaleźć wspomnienia o minionych feriach, a nawet akcenty wojskowe.

Tyle słowem wstępu. Jak widać oferujemy Wam pełną gamę tekstów, każdy znajdzie coś dla siebie. Pozdrawiam i zapraszam do lektury.

Co w numerze?

ZSŁ News

s. 3

Księżę z bajki w XXI wieku

s. 3

Trucizna

s. 4

Słynne „miejskie” ferie

s. 5

Snajper

s. 5

Pechowy dzień

s. 6

FGM - 148 JAVELIN

s. 6

Pierwszy kontakt z Nepalem

s. 7

Niedoceniony

s. 8

tienek węgla	producent gum do zucia	model Daewoo	mały Przemysław	odkaza wodę	księżyc Saturna	Witold, grał Balcerka	u żołnierzy Kościuszk	tworzone przez fryzjera	małpy wielkości kota
majak, mamidło			... Bergkamp, piłkarz	starożytny wyścigowy					
				chipsy z reklamy			sportowiec	ma prawo głosowania	
członek zastępu			kopiec	bandyta					
miasto we Francji pln.	Celine z estrady	otrzymany od szatniarza					ogólny nagród		
				żywica do wyrobu politur	niewielka siekiera				
możliwość sprzedaży	Orlando, aktor	papieśskie imię					odgłosy z obory		
			koń siwej maści	jednostka napięcia elektr. SI	60 sztuk		wymaga uzasadnienia	u boku Warsa	
Mieczysław, piosenkarz	męska w tytule filmu O Stone	"g" z be-molem				lina przy bomie	symbol żaloby	sterta	
			występ w poje-dynkę			śledzi ruch aktora			
szwedzki "grosz"			plażowa sandałki				sprzedał pierworo-dzstwo		
pluszowy mis						Mauer z pistoletem			

zadanie udostępnił serwis krzyżówkowy szarada.net

Gazeta Szkolna ZSŁ

Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Górszczak

Łukasz Ożóg

Krzysztof Franiek

Damian Hanusiak

Artur Kawala

Marek Siwecki

Maciej Pietrzyk

Renata Makuch

Michał Ambroży

Monika Sajbura

Karolina Potoczak

Konrad Makuch

Michał Grabowski

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margins@tl.krakow.pl

www: margins.tl.krakow.pl



MARGINES
Gazeta Szkolna



ZSŁ News

Renata Makuch

CO W SZKOLNEJ TRAWIE PISZCZY.

W marcu jak w garncu. Raz słońce, raz deszcz. Pogoda nie napawa nas optymizmem, przez co powrót po dwutygodniowej przerwie był jeszcze cięższy. Do matury pozostało około 56 dni.

Co w murach szkoły dzieje się ciekawego?



12. lutego po raz pierwszy w naszej szkole odbył się Konkurs Pieśni i Piosenki Patriotycznej. Największe uznanie jurorów podczas konkursu wzbudziły występy: Mikołaja Śliwy z kl. 2Id, Andrzeja Pałki z kl. 1Ec, Macieja Kurka z kl. 3Ib oraz zespołu z kl. 2Ic w składzie: Michał Ciborowski, Krzysztof Kapusta i Jakub Szura.

13. lutego br. odbyły się Walentynki ZSŁ. Na pierwszym piętrze można było pośpiewać piosenki miłosne oraz wysłać waleńkę.



W marcu odbędą się próbne egzaminy zawodowe z kwalifikacji E.12 i E.13 dla klas 2 i 3 informatycznych. Po szczegółowy harmonogram odsyłam Was na fanpage ZSŁ.

Koło Naukowe CybAIR działające przy Politechnice Poznańskiej serdecznie zaprasza Was do wzięcia udziału w XII Festiwalu Robotyki Cyberbot 2015, który będzie miał miejsce 18.04.2015 na terenie Centrum Wykładowego Politechniki Poznańskiej. Więcej informacji na: www.sumo.put.poznan.pl

11. marca odbędzie się szkolny etap Międzyszkolnego Konkursu Języka Angielskiego, natomiast 22. marca będzie miał miejsce drugi etap Szkolnego Konkursu Języka Niemieckiego.

Do 13. marca do godziny 24.00 można zgłaszać się do Międzyszkolnego Festiwalu Informatycznego "Projekt na 6". Więcej informacji również na fanpage ZSŁ.

Jakub Niziołek z 4 Ec, Jakub Jarzyna z 4Ec, Oskar Soczyński z 2 Ia zajęli I miejsce w Krakowie i III miejsce w województwie małopolskim w zawodach snowboardowych rozgrywanych w ramach licealiady 2015r. Gratulujemy!

To wszystko w marcowym Newsie, do zobaczenia w kwietniu!

Książę z bajki w XXI wieku

Monika Sajbura

"TO SŁODKA UDRĘKA – DO ZNIESIENIA... PRZYJEMNA - NIE, NIE OD RAZU (...)" - ANA „PIĘDZIESIĄT TWARZY GREYA”

Na wstępie chciałabym przeprosić za nieopisywanie źródeł cytatów, które często pojawiały się u mnie w zajawkach, zazwyczaj pochodzący z opisywanej w danym artykule książki. Obiecuję poprawę i dziękuję za zwrócenie mi uwagi przez jednego z uczniów naszej szkoły. Również pragnę wszystkich zaprosić do naszej szkolnej biblioteki, gdzie pojawiło się dużo nowości. Między innymi wreszcie przyszło „Metro 2033” Dmitrija Głuchowskiego, które moim zdaniem jest jedną z najlepszych książek postapokaliptycznych, jednak ilość części i złożoność akcji nie pozwala mi napisać więcej bez antycypowania.

Ze względu na huczną premierę filmu „Pięćdziesiąt twarzy Greya” nie mogę nie dodać od siebie kilku sugestii. Przede wszystkim, jeżeli ktoś czytał książkę i mu się tak bardzo spodobała jak mi, to pewnie również nie mógł się doczekać filmu, po czym wychodząc z kina w dniu premiery, zastanawiał się, czy warto było wydać te 20 zł na bilet. Otóż moim zdaniem nie. Nie powiem, że przez dwie godziny spałam, jednak dawno tak bardzo się nie rozczarowałam. Niestety film zupełnie przegrywa z książką. Pominając szczegóły, takie jak wygląd głównych bohaterów na ekranie i papierze, film okazał się zwykłym romansidłem z wyolbrzymioną ilością scen erotycznych, który nie zaspokaja ciekawości widza względem samej fabuły.

Dla tych, którzy o tej produkcji nie słyszeli (choć nie wiem, czy jest to możliwe po takiej burzy medialnej) „Pięćdziesiąt twarzy Greya” autorstwa E. L. James opowiada historię studentki literatury, Anastasi Steele, która postanowiła przeprowadzić wywiad z młodym, niezwykle przystojnym biznesmanem, Christianem Greyem. Oczywiście Anastasia zostaje oczarowana przez bogatego mężczyznę i jako niewinna, skromna i słodziutka dziewczyna wychodzi ze spotkania i jest przekonana, że wszystko zepsuła. Ku jej zaskoczeniu Christian zjawia się w sklepie, w którym pracuje i prosi o kolejne spotkanie.

Można by było powiedzieć: „typowy romans”, ale wątek sadomasochistyczny nie pozwala nam porównać dzieła E. L. James, do właśnie takiego typowego romansu, gdzie wszystko jest piękne i delikatne. Głównym problemem poruszonym przez książkę jest granica pomiędzy zaspokajaniem własnym żądzą, a krzywdzeniem ukochanej osoby. Można powiedzieć, że książka nie jest ambitna, ale na te słowa przychodzi mi na myśl „Zmierzch” i od razu zmieniam zdanie. Ogólnie dla ludzi, którzy porównują te dwie sagi i zniżają do tego samego poziomu, można powiedzieć: pamiętajcie, że „Zmierzch” to romans paranormalny, a to jest osobna kategoria książek pisana albo w kierunku samotnych dorosłych kobiet, albo w kierunku młodzieżowych nastolatek.

Książki nie polecam feministkom i osobom, które irytuje typ głównego bohatera, jakiego na potrzeby artykułu nazwę „ofiara losu”. Naiwność Anastasi może wyprowadzić z równowagi. Musimy pamiętać też, że „Pięćdziesiąt twarzy Greya” to pierwszy tom sagi „Pięćdziesiąt odcieni”, która niestety nie zaskakuje pomysłowością na kolejne tomy, a Anastasia nie uczy się na własnych błędach.

Podsumowując: bez czytania książki nie polecam iść na film, bo można nie wytrzymać do końca i jeżeli jakaś dziewczyna chce zakończyć swój związek, proponuję zaprosić swojego chłopaka do kina właśnie na ten film.

Trucizna

Patryk Janczur

JEDEN Z NAJBARDZIEJ ROZPOZNAWALNYCH BOHATERÓW POLSKIEJ LITERATURY OSTATNICH LAT, BEZCZELNY DZIADYGA, TERMINATOR NAPĘDZANY SAMOGONEM, CZŁOWIEK, KTÓRY NIE PRZEPUŚCI NI ŻYWEMU, NI MARTWEMU, WRACA W KOLEJNYM ZBIORZE OPOWIADAŃ PIŁIPIUKA.

Najnowsza książka Andrzeja Piłipiuka była niewątpliwie jedną z najbardziej oczekiwanych premier 2012 roku. Ukazujący się pod szyldem Fabryki Słów zbiór 20 opowiadań już od czasu pierwszych zapowiedzi budził zaniepokojenie i spore nadzieje. Nic zresztą dziwnego, ponieważ na kolejne perypetie wiekowego starca przyszło nam czekać aż trzy lata. W tym czasie autor zajmował się innymi opowieściami – o wampirach żyjących w warszawskiej Pradze w epoce późnego Jaruzela, kolejnymi tomami powieści „Oko Jelenia”, czy zbiorami opowieści niezwiązanych z Wędrowyczem. Im bliżej było do premiery, tym częściej pojawiało się pytanie – czy bohater to wciąż polska odpowiedź na Conana Barbarzyńcę?

Kim jest Jakub Wędrowycz? Główny bohater książki Andrzeja Piłipiuka to przerażający ochlapus, wiejski egzorcysta, bimbrownik i kłusownik, porażający otoczenie wyglądem, zapachem i kulturą osobistą – a raczej jej brakiem.

W towarzystwie równie odrażających kumpli pije, produkuje samogon, wdaje się w awantury oraz wypełniając wolę przodków, regularnie likwiduje przedstawicieli wrogiego rodu – Bardaków. Z racji posiadania pewnych nadnaturalnych zdolności dokonuje też eksterminacji duchów, wampirów, utopców, zombiaków oraz wszelkiej innej „paranormalnej gadziny”. W wolnych chwilach odczytnia uroki i klątwy, a nawet kilka razy podejmuje się ratowania ludzkości. Wszystkie zadania wykonuje pod wpływem alkoholu, przekładając prymitywną siłę fizyczną i cwaniactwo nad subtelniejsze metody rozwiązywania konfliktów.

To bardzo dobry powrót Andrzeja Piłipiuka do historii o naszym narodowym egzorcyście. Jego poprzedni tom „Homo bimbrownikus” był po prostu słaby, tutaj jest o wiele lepiej. Piłipiuk, w przeciwieństwie do poprzedniej części – postawił na ilość i różnorodność. Większość to teksty krótkie, zwarte, zawierające się w większości na kilku stronach, ale mimo to ciekawe, świeże, ze świetnym poczuciem humoru. Dzięki temu możemy czytać na przykład o nawróconym po śmierci ateście-komuniście czy nawiedzających miasto egzorcysty plagach egipskich, które zmieniają wodę w oranżadę, czy sprowadzają do Starego Majdanu niezwykłą ilość karaluchów i jętek.

„Trucizna” to seria 20 krótkich opowiadań, które łączy kilka rzeczy. Wszędzie ujawniająca się stereotypowa „polskość” i „wiejskość” oraz pokłady absurdu i braku logiki doprowadzające do eksplozji śmiechu. Pomysły, jakimi zarzuca nas Piłipiuk są często kompletnie z kosmosu, jak np. „Chłopołaki”, transformacja diabła w anioła za pomocą płynu do kibla i litra samogonu, czy legendarna i niespotykana „flaszka niewypijka” (Nie mylić z niewypitką).

Zakres tematyczny opowiadań Piłipiuka jest bardzo szeroki. Każdy tekst zawiera osobną fabułę, odrębne przemyślenia i poglądy na różnorakie tematy. W – na pierwszy rzut oka – niepoważnych opowiadaniach o poczynaniach polskich chłopów, odnajdujemy ciekawe rozwiązania istniejących problemów, nowatorskie sposoby radzenia sobie w życiu czy zabawne wyniki sprytnego myślenia. Przechodząc przez kolejne rozdziały, napotykamy coraz to ciekawsze sytuacje. Jako przykład może posłużyć historia o Smoku Wawelskim. Czy wiedzieliście, że tak naprawdę to nie szewczyk Dratewka zabił smoka, a podпиты Jakub Wędrowycz, strzelając mu poniżej pleców chińską rusznicą przeciwpancerną? W innym opowiadaniu wiejski egzorcysta złapał Wrózkę Zębuszkę po tym, jak ta zamieniła sztuczną szczękę jego najlepszego przyjaciela na paczkę kredek.

Akcja jest prowadzona wartko, płynnie i bez zbędnego przynudzania, a charakterystyczny styl pisania autora tylko przyciąga czytelnika. Używa on prostego języka, zrozumiałego dla każdego, nie powstrzymując się nawet przed wplataniem w tekst kolokwializmów czy wulgaryzmów.

Piłipiuk nie boi się wprowadzać licznych nawiązań np. do „Kopuły” Stephena Kinga, serii o Harrym Potterze, „Operacji: Dzień Wskrzeszenia”, polskiego systemu wyborczego czy do islamskiego kodeksu. W wielu dziełach twórcy zauważalne jest nadzwyczaj częste aluzje do epoki PRL, wszelkiego rodzaju tajnych służb Związku Sowieckiego oraz absurdałnych ustaw i polityki Unii Europejskiej. W jednym opowiadaniu dowiadujemy się, że kiedyś Jakub zaiwaniał odplamiacz niewidzialności z laboratorium KGB, natomiast w innym – że jako poczęstunek dla policjantów przygotował „ryby lądowe w sosie owocowym” (czyli nomen omen – ślimaki winniczki w marchewkach). W kolejnej historii mamy do czynienia z wyborami, które nie poszły po myśli Jakuba Wędrowycza. W ramach zemsty postanawia przenieść całą gminę o kilkadziesiąt lat wstecz do roku 1975. I tak kolorowe telewizory zastąpiły stare „Ametysty”, współczesne banknoty na powrót zmieniły się w czerwone pliki stułotówek z wizerunkiem Waryńskiego, audi wójta przeistoczyło się w wysłużonego radzieckiego moskwicza 426, a na półkach w pokojach dzieci znowu uświadczyc można było Czeburaszki.

W książce występuje bardzo wiele postaci, które przewijały się już w dorobku literackim Andrzeja Piłipiuka. Zaczytując się w „Truciznie”, możemy natrafić na ślady archeologa Tomasza Olszakowskiego (Piłipiukowego „Pana Samochodzika”), skłóconego z egzorcystą klanu Bardaków, Tomasza Paczenko, Roberta Storma, policjantów z wojsławickiego posterunku czy Maćka, wnuka Jakuba, bohatera trylogii „Norweski Dziennik”. W sposób pośredni zostaje również przywołany doktor Paweł Skórzewski – jedna z najlepszych postaci wykreowanych przez Piłipiuka, występujący w takich pozycjach jak: „2586 kroków”, „Carska manierka”, „Czerwona gorączka” czy „Rzeźnik Drzew”. W „Truciznie” Jakub Wędrowycz napotyka na mityczną kurę Filaretowa, którą pragnął odnaleźć Skórzewski. Rzeczona kura miała dawać złote jaja, co okazało się wielkim blefem, za który klan Bardaków musiał zapłacić pięć stów.

Wspomniany zostaje również Instytut Kryptozoologii w Lublinie, gdzie w jednej sali przechowywany jest wehikuł czasu z książki „Operacja: Dzień Wskrzeszenia”. Owey maszyny Jakub użył, aby przenieść się do czasów księcia Kraka.

Podsumowując, uważam, że „Trucizna” to jeden z najlepszych tomów opowiadań o Wędrowyczu, jeśli wręcz nie najlepszy. Autor przedstawia nam udaną mieszaninę utworów o różnej mocy i zawartości, dzięki czemu każdy znajdzie coś dla siebie. Większość jego tekstów jest znakomicie przedstawiona, bohaterowie są nietuzinkowi i nieprzewidywalni, a Piłipiuk postępuje wręcz odwrotnie do powszechnie przyjętych norm literackich. Na każdej stronie można przeczytać o absurdałnych sytuacjach i jeszcze bardziej absurdałnych rozwiązaniach, co wywołuje niekontrolowane napady śmiechu.

Bezwzględnie polecam. Jest to obowiązkowa lektura dla wszystkich wielbicieli fantastyki, a jako, iż jest to nasza rodzima produkcja, warto się z nią zapoznać. Piłipiuk to jeden z niewielu polskich pisarzy, którzy znani się również poza granicami naszego kraju. „Trucizna” to książka dla ludzi, którzy nie myślą według „schematu”, pragną chwili wytchnienia od zgiełku codzienności i lubią się pośmiać.

Słynne „miejskie” ferie

Joanna Bożek

NIESTETY, WOLNE JUŻ MINĘŁO. ALE GDZIE KRAKOWIACY JEŹDŻĄ NA FERIE? DO ZAKOPANEGO!

Kilka dni temu musieliśmy wszyscy wrócić do znienawidzonych obowiązków szkolnych, kończąc tym samym ukochany, dwutygodniowy, zimowy urlop. Każdy z nas spędził ten czas na swój sposób: jedni odpoczywali, drudzy chcieli nadrobić edukacyjne zaległości (chyba większość nas-uczniów miała taki zamiar, ale tylko na chęciach się skończyło, prawda? :)), a inni wyjeżdżali w nowe miejsca... Tak jak ja.

Pierwszy raz w życiu pojechałam do słynnego, górskiego kurortu, czyli do Zakopanego. Statystyki pokazują, że jest to najczęściej wybierane do odpoczynku miasto w górach. O tej porze roku można tu odetchnąć, spokojnie spacerując po Krupówkach, pozbierać myśli, robiąc wycieczki górskie, wyszaleć się na nartach lub jeśli będziemy w odpowiednim momencie, odnaleźć się w roli kibica skoków narciarskich na Wielkiej Krokwi. Opcji jest mnóstwo... Niestety chętnych na te zachcianki również. Dzięki dużemu zainteresowaniu nowobogackich turystów z miast, Zakopane stało się komercyjne, drogie i przepełnione. Już przy samym wjeździe, na każdym kroku widać oferty noclegów, hoteli, moteli, hosteli i Bóg wie czego jeszcze. Jadąc dalej samochodem, nie da się normalnie poruszać po (i tak już wąskich) ulicach, ponieważ ogromna ilość turystów beztrako po nich maszeruje. Od dawna wiadomo też, że górale choć gościnni, to o swój majątek będą uparcie zabiegać, więc chęć zjedzenia zwykłego obiadu wiąże się z bólem, spowodowanym dziurą w portfelu, gdy zaspokoimy swój głód w pierwszej lepszej restauracji.

Jednak żeby nie narzekać jak „typowy Polak”, przedstawię też zalety tego miejsca. Przede wszystkim warto zaznaczyć, że gdy trafimy z pogodą, możemy podziwiać krajobrazy niczym te z National Geographic Channel. Widok ośnieżonych, białych Tatr skąpanych w słońcu o poranku zapiera dech w piersiach. Takie samo, a nawet bardziej zachwycające wrażenie odniosłam, jadąc kolejką na Kasprowy Wierch - wiem, że to jedno z tych przeżyć, których się nie zapomina. Kolejną rzeczą, na którą zwróciłam uwagę, jest fakt, że miejscowi robią wszystko, by pokazać swoją kulturę i zwyczaje, i że mimo dobrego biznesu, który się tam kręci, nie próbują dopasować się do unijnych wymyślnych norm i reform. Wręcz dokładają wszelkich starań, by walczyć z odgórnymi przykazami i żyć po swojemu, tak jak chcą. Górale mają to do siebie, że są niewiarygodnie uparci w porównaniu do reszty polskiego narodu i zawsze coś wykombinują, tak by nic nie stracić. Na pewno niektórzy stwierdzą teraz, że Krakowianie również dbają o swoje tradycje. Otóż ja się z tym nie zgodzę. My- Krakowianie w odróżnieniu od nich, tylko od święta pokazujemy swoje zwyczaje i kulturę, a oni dumnie kultywują je i zachęcają do nich każdego, na co dzień.

Po feriach spędzonych w miejscu, w którym odczuwa się tak skrajne emocje i opinie, wysnułam jeden, niezbędny na następny wyjazd do Zakopanego wniosek: trzeba się tam wybrać tylko po tzw. „sezonie”. Wtedy ilość ludzi będzie normalna, ceny bardziej przystępne, panować będzie cisza i spokój, a widoki i tak się nie zmieniają i dalej będą szokować, zdumiewać i budzić wewnętrzny podziw.



Snajper

M

MAJSTERSZTYK EASTWOODA?

Po starym pocziwym Clincie Eastwoodzie można spodziewać się samych dobrych produkcji i kolejny raz udowodnił to reżyser filmem „Snajper”. Za oceanem ściągają do kin rekordowe ilości ludzi, aby zobaczyć nowe dzieło Eastwooda, które bije rekordy sprzedaży.

Jest to oparta na faktach historia Chrisa Kyle’a okrzykniętego najlepszym snajperem w historii amerykańskiej armii, na którego koncie jest 160 zabitych uznanych oficjalnie przez Pentagon, a nieoficjalnie mówi się o ponad dwustu.

Bardzo zapadającą w pamięć jest jedna z początkowych scen, w której typowy twardy ojciec w swoim domu w Teksasie podczas posiłku mówi do swoich: „Są trzy typy ludzi: wilki, owce i owczarki pilnujące owiec” i oglądając dalszą część filmu, wiemy, że właśnie widzimy owczarkę, który, widząc jak terroryści zagrażają jego narodowi, postanawia z nimi walczyć i zaciąga się do elitarniej jednostki NavySEALS.

Spora część akcji, jak nie trudno się domyślać, dzieje się w Iraku, gdzie Kyle głównie osłania żołnierzy walczących na terenie wroga. Film nazwałbym bardzo... „czystym”, jeżeli chodzi o sceny wojenne. Nie ma w nim aż tyle krwi, która zazwyczaj zalewa cały ekran w amerykańskich produkcjach związanych z wojną i odwraca często uwagę od postaci, które w nich występują.

Eastwood świetnie wyważył ilość, długość i kolejność scen. Przez cały czas ma się świadomość, jak ważną częścią życia stało się wojsko dla Chrisa, jednocześnie czujemy, że to film biograficzny skupiający się na osobie, a nie na wojnie.

Bradley Cooper też wykonał kawał dobrej roboty - samo przygotowanie roli sporo go kosztowało. Aby jak najbardziej przypominać Chrisa, podobno przybrał na masie ok 20 kg. Bardzo dobrze zagrał zdystansowanego prostego chłopaka z Teksasu, który chce za wszelką cenę bronić swoich. Za tę rolę Cooper otrzymał nagrodę Critics' Choice dla najlepszego aktora w filmie akcji.

Można z pewnością stwierdzić, że „Snajper” jest hołdem dla Chrisa oraz innych młodych ludzi, którzy poświęcili się dla swojej ojczyzny. Według mnie jest to pozycja obowiązkowa dla osób, które mają zamiar łączyć swoją przyszłość z wojskiem, gdyż może się okazać, że sama walka nie jest najcięższą częścią tej pracy...



Pechowy dzień

Michał Grabowski

OSTATNIMI LATY RZADKO SŁYSZYMY O PIĄTKU TRZYNASTEGO. KIEDYŚ TO BYŁA PRAWDZIWA ZARAŻA. UWAŻAJ, W TYM ROKU ZNOWU NAWIEDZI CIĘ PECH.

Ostatnim dniem lutego przed feriami był szeroko wszystkim znany piątek trzynastego, jednak nikt nie czuje już takiego niepokoju przed tym dniem, jak to było jeszcze kilka lat temu. Kiedyś każda myśl o tym dniu wywoływała pechowy mechanizm – „O nie, dzisiaj znowu coś rozbije!”. Dlaczego uważa się ten dzień za najbardziej feralny w roku?

Pewnego pięknego dzionka, 13 października 1307 (był to wówczas piątek), aresztowano Templariuszy, którzy mieli być oskarżeni przez króla Francji Filipa IV o oddawanie czci fałszywym bóstwom i herezję. Przed tym dniem Filip IV podpisał edykt nakazujący złapanie wszystkich Templariuszy, gdyż mieli zostać oni oskarżeni o herezję. Prawda jest taka, że król Filip IV chciał przejąć ich majątki, samemu będąc zadłużonym. Ci, którzy zostali złapani, mieli zostać spaleni na stosie. Chwilę przed wykonaniem egzekucji, ostatni Wielki Mistrz Zakonu – Jacques de Molay – miał przekląć króla Francji i ówczesnego papieża Klemensa V, którzy zmarli w następnym roku. Oto legenda piątku trzynastego, a co najlepsze – zaczęto wierzyć w pechowość tego dnia dopiero w XX wieku. Nie jest to jednak jedyna legenda – różne przekazy podają, że był to dzień śmierci Jezusa albo dzień zjedzenia przez Ewę jabłka z drzewa poznania dobra i zła. Ponadto liczba 13 jest w Biblii liczbą złowrogą, a 12 uznawana jest za harmoniczną, szczęśliwą, co jest dziwne, bo w Japonii i Izraelu ludzie uważają 13-tkę za szczęśliwą. W „Kodzie Leonarda Da Vinci” jest nawiązanie do liczby 13. Wielki kryzys na giełdzie nowojorskiej rozpoczął się w czarny czwartek 1929 roku i przez niektórych jest też utożsamiany z piątkiem trzynastego, co może być uzasadnieniem, dlaczego zaczęto wierzyć w pechowość tego dnia w XX wieku. Widać, że ten dzień ma za sobą wielką historię.

W tym roku przypadają aż trzy piątki trzynastego, bo oprócz 13 lutego jest jeszcze 13 marca oraz 13 listopada, co oznacza, że czeka nas kolejny „pechowy” dzień. W różnych krajach obchodzi się inne pechowe dni – w Grecji, Hiszpanii i Rumunii jest to wtorek 13-ego, a we Włoszech – piątek 17-ego. Jednakże można samemu się przekonać, że ten dzień nie jest aż taki nieszczęśliwy, kiedy się o nim nie myśli. Przez ostatni piątek (trzynastego) przed feriami udało mi się przebrnąć całkiem znośnie, nie licząc zagubionego kalkulatora naukowego (miejmy nadzieję, że się odnajdzie!).



FGM – 148 JAVELIN

Wojciech Salwiński

LATA 90. XX W. PRZYNIOSŁY WIELE INNOWACJI W PRZEMYŚLE OBRONNYM, ZACZĘTO STOSOWAĆ NA SZEROKĄ SKALĘ NAJNOWSZE TECHNOLOGIE, TAKIE JAK PANCERZ REAKTYWNY.

Ponieważ jednak we wszechświecie musi panować równowaga, na każdą tarczę znajdujemy miecz, a raczej w tym przypadku oszczep (oszczep – ang. javelin)...

Wspomniane lata 90. przyniosły chęć zastąpienia w arsenale US Army i w US Marine Corps kierowanego systemu przeciwpancernego M47 Dragon, skonstruowanego w połowie lat 60.

Na uzbrojenie wszedł w 1996 roku FGM – 148 Javelin, który wraz z izraelską rodziną Spike tworzą najpopularniejsze przenośne zestawy przeciwpancerne od czasów zakończenia zimnej wojny.

Może on zwalczać cele znajdujące się w odległości do ok. 4500 metrów. Wraz z systemem Spike posiadają tryb „odpal i zapomnij”.

Javelin posiada tandemową głowicę, pozwalającą przebijać cele, osłonięte pancerzem reaktywnym.

Posiadają tryb rażenia celów z góry (w przypadku czołgów – tam gdzie pancerz jest najcieńszy).

Po naciśnięciu spustu, pierwszy człon odpowiada za wyrzucenie pocisku z tuby, po przelocie ok. 10 m włączany jest silnik rakietowy, ma to na celu zapobiec wykryciu stanowiska obsługi (2 os.) oraz poparzeń strzelca.

Javeliny zostały użyte po raz pierwszy w trakcie operacji Iraqi Freedom.



Dane taktyczno – techniczne

- Producent: Raytheon i Lockheed Martin <3
- Kaliber: 127 mm
- Rodzaj pocisku: HEAT (High Explosive Anti Tank)
- Masa rakiety: 11,8 kg
- Masa wyrzutni: 6,4 kg
- Koszt: pocisku – 80 000 USD, wyrzutni – 125 000 USD

Słowniczek:

Odpal i zapomnij - system, w którym człowiek namierza cel i naciska spust, pocisk sam wyznacza trajektorię lotu, uwzględnia warunki oraz przeszkody.

Pancerz reaktywny - rodzaj pancerza zawierający materiał wybuchowy, aktywnie reagujący na przebijający go pocisk. Materiał wybucha wówczas na powierzchni pancerza właściwego, nie wyrządzając szkód obsłudze pojazdu. Odbywa się to bez udziału człowieka i systemów obiektu, z którego odpalono pocisk.

Głowica tandemowa - w przypadku pocisków przeciwpancernych, zbudowana ze zubożonego uranu lub wolframu (pierwiastki użyte ze względu na swoją twardość), pierwsza głowica ma za zadanie zniszczenia pancerza reaktywnego, druga pancerza właściwego oraz rażenie obsługu celu.

Pierwszy kontakt z Nepalem

Tomasz Nowiński

OSTATNI DZIEŃ W INDIACH I PIERWSZE ZETKNIĘCIE Z NEPALEM.

Wkońcu nadszedł ostatni dzień w Indiach z przejazdem do Nepalu. Zjedliśmy śniadanie, którego jakość pozostawiała wiele do życzenia. Potem wyjazd. Cekał nas cały dzień podróży. Droga do granicy również utrzymywała indyjski „standard”. Straszny ruch, dziury, nierówności i sporo wypadków po drodze. Zatrzymywaliśmy się po drodze w lokalnych, nieprzystosowanych dla turystów miejscach. Kosztowaliśmy miejscowe trunki, napoje i napary. Do granicy dojechaliśmy około godziny 20:00.



Granica wizualnie nie przypominała granicy. Była to zwykła droga z budynkami po obu jej stronach. Gdzieś na początku musieliśmy wysiąść z autobusu, tragarze zabrali nasze rzeczy, a my poszliśmy wypełniać papiery związane z wyjazdem z Indii. Potem oryginalnie wyglądająca strefa wolnocłowa. Niestety, w nocy wszystko było pozamykane. Następnie załatwienie wiz nepalskich. Najpierw trzeba było obudzić śpiących celników. Potem znów wypisywanie papierów w świetle laterek – prądu po tej stronie granicy chwilowo brakło. Następnie poszliśmy jeszcze kawalek dalej, gdzie zapakowaliśmy się do kolejnego autobusu, już po nepalskiej stronie. Nasze rzeczy już tam były.

Krótki dojazd do przygranicznego hotelu Yeti, gdzie czekała nas pierwsza nepalska noc. Warunki były – delikatnie mówiąc – spartańskie. Na korytarzu brakowało kilku szyb w oknach, w pokojach duże szpary, przez które wpadało zimne powietrze. Temperatura

na zewnątrz wahała się w okolicach 0 stopni Celsjusza. Nie trzeba było więc mówić, że w pokojach nie było za ciepło. Na wejściu odkręciliśmy prysznic nauczeni sytuacjami z Indii. Okazało się to dobrym pomysłem. Ciepła woda doleciała po około 15 minutach. W międzyczasie wziąłem się za kontrolę ogrzewania. Żaden kaloryfer ani piecyk elektryczny nie był sprawny, lecz z pomocą noża i taśmy izolacyjnej (które razem z drutem i opaskami zaciskowymi wożę zawsze ze sobą) udało mi się uruchomić dwie farelki. Przy balkonie i oknach położyliśmy torby i jakieś rzeczy. Potem zszedłem na parter koło recepcji, gdzie był dostęp do WiFi. Działało niesamowicie wolno, lecz pozwoliło skontaktować się przez chwilę ze światem. Po pewnym czasie temperatura osiągnęła okolice 16-17 stopni, więc można było spokojnie się wymyć i iść spać.

Rano pobudka, szybkie pakowanie i śniadanie. Na stołach czekało na nas po jednej bułce, trochę masła, jakiś dżem i miód. Posililiśmy się i wyruszyliśmy w drogę.

Najpierw pojechaliśmy do Lumbini. Według tradycji urodził się tu książę Siddhartha Gautama, który stał się potem Buddą Śakjamunim. Lumbini leży w południowym Nepalu, 25 kilometrów na wschód od Kapilavastu. Nazwa Lumbini pochodzi od babki Buddy, matki królowej Mai. Świątynię w tym miejscu wybudowano dopiero w latach sześćdziesiątych XX wieku. Następnie zwiedziliśmy buddyjski klasztor i wyruszyliśmy w kierunku Parku Narodowego Chitwan. Dotarliśmy tam około godziny szesnastej i po zjedzonym obiedzie wyruszyliśmy na bezkrwawe łowy – safari na słońcach z aparatami w ręce. Przeżycie niesamowite. Niestety, dzikich zwierząt było bardzo mało. Może też przez to, że nadal w pamięci mam afrykańskie safari, gdzie na każdym kroku można spotkać zebry, żyrafy, antylopy jak i lwy, gepardy i wiele innych gatunków. Tutaj trudno było zobaczyć jakieś większe skupisko nawet dzików i saren. Próbowaliśmy znaleźć nosorożca i tygrysa (ponoć jakieś są), lecz niestety nie udało się. Dużo tu było tylko słoń.

Następnie wracamy do naszego lokum, gdzie jemy przepyszną kolację. Słońce zachodzi na tle Himalajów. Niesamowity widok. Potem idziemy na wspólne ognisko. W końcu udało się gdzieś dostać zimną Colę. Później uczymy przewodnika polskich piosenek. W tej atmosferze rozchodzimy się do domków. Trzeba się wymyć i iść szybko spać. Jutro znowu wczesna pobudka.



Niedoceniony

Michał Grabowski

MYŚLĘ, IŻ ZBYT WIELU ARTYSTÓW ZOSTAŁO NIEDOCENIONYCH, ZWŁASZCZA CI, KTÓRZY NAPISALI TAK WSPANIAŁE I WIELKIE DZIEŁA

Każdy z nas z pewnością zetknął się niegdyś z czymś nienazwanym, pewnymi niezwykle zjawiskami, których nie da się wyjaśnić racjonalnie. Na każdym kroku nauka pokazuje, że niektórych wydarzeń nie da się wyjaśnić, przeczą one naturze, są niezgodne ze znaną nam fizyką. Czy to było w literaturze faktu, filmach historycznych, w telewizji, historiach opowiedzianych przez innych ludzi lub we własnym życiu – ze wszystkich stron otaczają nas przedziwne wybrki natury. Świat nie jest taki, za jaki go uważamy. Jest o wiele bardziej mroczniejszy.

Do czego zmierzam? Można powiedzieć, iż jednym z takich wybrków natury był Howard Phillips Lovecraft, którego ubogie życie obdarzyło rozległą i bogatą wyobraźnią, pozwalającą mu napisać wielki fenomen (uznawany ówcześnie za klasyk) w świecie fantastyki – i nie jest to książka ani ciężkie tomy opowiadające jedną wielką historię typu Harry Potter – a zbiór opowiadań nazywanych przerażającą Mitologią Cthulhu opowiadająca o nieznanym, pradawnym bóstwach pochodzących z otchłani kosmosu oraz zamieszkujących głębiny mórz i oceanów, która zapoczątkowała jedną z najciekawszych odmian twórczości pisarskiej – literaturę grozy.

Natrafiłem na to uniwersum całkiem przypadkiem, bowiem wielu artystów literackich albo muzycznych interesuje się historiami, które zapisywał w swoich rękopisach Lovecraft. Pierwszym miejscem, gdzie ujrzałem inspirację jego uniwersum był cytat z jego opowiadań: *That is not dead which can eternal lie. Yet with strange eons even death may die* na okładce albumu koncertowego zespołu Iron Maiden *Live After Death*, a kolejnym – utwór *The Call Of Ktulu* Metalliki. Zacząłem czytać więcej o tym – nieraz już słyszałem o dziwnej nazwie Cthulhu, czym okazał się wielki pradawny bóg spoczywający na dnie Pacyfiku i czekający na przebudzenie. Wkrótce zamówiłem książkę (albo raczej zbiór opowiadań) o tytule *Zew Cthulhu*, który ma w sobie siedem opowiadań napisanych przez Lovecrafta. Już po przeczytaniu (łyknąłem cały, niemal 300-stronicowy zbiór opowiadań w ciągu paru dni, co jest dla mnie nie lada wyczynem) byłem tak zaabsorbowany, że nie potrafiłem myśleć o czym innym aniżeli właśnie o świecie, który stworzył pisarz z Providence. Ciągnęło mnie do tego, aby również samemu napisać opowiadanie na tej planecie osobliwości, pełnej nadzwyczajnych dziwactw, które do dziś odrażają i zarówno ciekawią czytelników, chociaż owe opowiadania były pisane przed osiemdziesięcioma laty i wciąż straszną nawet w najnowocześniejszych czasach. Bo co by było, gdyby aktualnie znany nam świat zaczął się rozpadać, a jakiś nieznany twór rozpoczął zżądanie globu?

Sam Lovecraft, który fascynował się opowiadaniem Edgara Allana Poe'go, nie miał bogatego życia towarzyskiego. Jako dziecko biegał po podwórku i odprawiał przerażające rytuały, wymawiając ku niebiosom słowa, których znaczenie znał on sam, a jego krewni nie wiedzieli, co o tym myśleć. Charakteryzowało go wąskie grono przyjaciół (wielu z nich tak naprawdę nigdy nie poznał, a jedynie wymieniał z nimi listy) dzielących jego zainteresowania. Jeszcze za jego życia paru pisarzy napisało opowiadania opierające się na mitologii, którą zapoczątkował Lovecraft. I choć on sam uznawany jest przez wielu ludzi za geniusza, został niedoceniony za życia jak wielu artystów w historii. Dopiero po jego przedwczesnej śmierci na nowotwór paru jego przyjaciół zdecydowało, że stworzą wydawnictwo i udostępnią jego korespondencje, listy i opowiadania, których żaden z istniejących wówczas wydawców nie chciał wydać na świat. Proszę sobie wyobrazić – z początku niedoceniony

pisarz, a teraz na podstawie jego pisarstwa powstają gry komputerowe, nagrywają mnóstwo filmów i tajemniczy Cthulhu jest powszechnie znany w popkulturze!

Wyobraźnia, którą wykreował pisarz z Providence, pozwoliła mu stworzyć dzieła o niewiarygodnych rozmiarach. Niczym wertyzm, stworzono podgatunek horroru – horror lovecraftowski, który nie działa tylko na aspekty fizyczne, lecz również na nasze myśli, sny i marzenia. W jego uniwersum ma mieć miejsce zagłada ludzkości poprzez przebudzenie wielkiego Cthulhu w mieście R'lyeh i jego podwładnych, a następnie zajęcie przez nich Ziemi i wymordowanie wszystkich ludzi. To miało się oczywiście zdarzyć dopiero w przyszłości, w nieokreślonym czasie, a same zdarzenia w jego historiach były zapowiedzią tego, co ma się wydarzyć. Cthulhu miał nawiedzać ludzi w ich snach, pokazując im pradawne, gigantyczne, zalane miasta, głębiny mórz i przekazując wiedzę o nadchodzącej zagładzie ludzkości. Lecz sam Cthulhu to nie wszystko. Według Lovecrafta w samym centrum wszechświata mają znajdować się okropne stwory o tysiącach paszcz zdolne do zniszczenia świata w ciągu jednej myśli. Wszyscy ci bogowie nazywani są Wielkimi Przedwiecznymi, a sam kontakt psychiczny z nimi może nakierować człowieka ku szaleństwu i mieć straszne skutki. Świat ten może Cię olśnić, lecz też nadzwyczajnie przerazić.

To, co jednak opowiadam, jest wyłącznie namiastką tego, co potrafi opowiedzieć Lovecraft. Jego mistrzowska proza i umiejętność prowadzenia narracji jest niezrównana; od historii, które nam przedstawia, nie można się oderwać. Jest to pozycja obowiązkowa dla wszystkich fanów fantastyki czy horroru, zbiór opowiadań Lovecrafta jest nazywany klasyką i, jak już wspominałem, wielu artystów współczesnych odwołuje się do historii i słów, które on sam napisał. Uważam, że każdy zwykły człowiek powinien posiadać na swojej niewielkiej półce z książkami jego opowiadania. Nawet jeśli nie jesteś fanem horroru, kontakt z tym „małym wielkim” światem Cię odmieni. Dlatego polecam wypożyczyć z biblioteki już teraz jego legendarne opowieści i zatracić się w tym świecie strachu i naukowego zachwyty (i tak, tak, nie wychodzić z łóżka przez kilka dni). I jak to przeczytałem kiedyś w pewnej krótkiej recenzji – „gwarantowane chore sny przez najbliższe tygodnie”.

